

Zabudowa okolic krakowskiego Wawelu — jednej z najstarszych pamiątek architektonicznych w Polsce — jest bliską każdemu polskiemu sercu. Chodzi przecież o to, by połączyć starą tradycję z nową, socjalistyczną treścią budownictwa tętniącego w Nowej Hucie. Oto jedna z opracowań zespołu „Miastoprojektu — Kraków”. Przewiduje ono wybudowanie wokół wzgórza wawelskiego nowoczesnej dzielnicy mieszkaniowej.



Jak powiązać stary Kraków z socjalistycznym budownictwem

Piękne będzie otoczenie Wawelu

W Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie otworzono wystawę prac ośmiu zespołów architektonicznych, które szukały rozwiązania kwestii uporządkowania otoczenia jednego z najcenniejszych zabytków polskiej architektury — Wawelu. Prace te poprzedzone gruntownymi studiami historycznymi, mają połączyć stare tradycje architektoniczne Krakowa — z nowo powstającym miastem socjalistycznym Nową Huta.

W problemie uporządkowania Wawelu, serca starodawnego stołecznego miasta, liczącego około piętnaście wieków, wysuwają się na czoło następujące zagadnienia: uporządkowanie stoków wzgórza wawelskiego i jego najbliższych zabytków; przebudowa prawego brzegu Wisły z ukształtowaniem na Dębnikach nowej dzielnicy na 25 tysięcy mieszkańców; związanie zespołu zabytkowego z Nową Huta i zachodnimi dzielnicami, gdzie z czasem powstanie nowy Kraków. Przyszłość miasta oblicza się bowiem w skali od 600 tysięcy do 1 miliona mieszkańców.

Stare błędy i trudności

Ktokolwiek przyjeżdża do Krakowa i spogląda z Wawelu w stronę panoramy Beskidu, a przy dobrej widoczności i Tatr, tego uderza zaniedbanie prawego brzegu Wisły i chaotyczna zabudowa, nie harmonizująca z architekturą zabytkową starego śródmieścia, wzgórze wawelskiego i Skałki. Owe błędy i zaniedbania wynikły z wyburzeń wielu cennych zespołów zabytkowych w XIX wieku przez austriackiego zaborcę. Późniejszy brak zrozumienia i troski o należyte utrzymanie otoczenia Wawelu w odpowiedzialnej stylowo konserwatorskiej sprawie, jeszcze sytuację pogorszył. Opracowanie urbanistyczne i konserwatorskie jest więc trudnym zadaniem. Prace muszą być rozłożone na wiele lat; wymagają bardzo poważnych inwestycji. Jednak budowa na przedpolu dzisiejszego miasta — Nowej Huty i kombinatu, wysuwa postulat harmonijnego związania zabytkowego Krakowa z nowymi dzielnicami. Z tego też względu prace porządkujące teren okalający Wawel w kilku fazach, obejmą także zabytkowe śródmieście, aż po Barbakan.

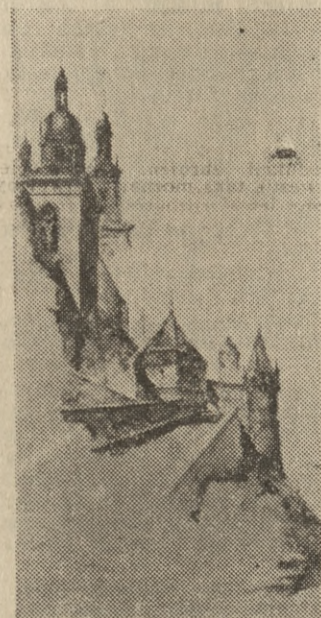
Na przykładzie zakończonych konkursu uporządkowania otoczenia Wawelu, raz jeszcze wysuwa się teza, że decydująca jest główna koncepcja urbanistyczna. Szczegółowe opracowanie konserwatorskie poszczególnych obiektów zabytkowych i elewacji budownictwa monumentalnego i mieszkaniowego jest zagadnieniem drugorzędnym.

Sąd konkursowy przyznał tylko jedną, drugą nagrodę projektowi inż. architekta Zbigniewa Solawy. Projekt wychodzi ze słusznego założenia, że główna oś kompozycyjną stanowi Wisła i do niej nawiązuje rozwiązanie urbanistyczne naj-

bliższego otoczenia. Następnie łączy w organiczną całość zabytkowy zespół dawnego miasta z Nową Huta i głównymi arteriami w kierunku na Śląsk i Warszawę.

Woda w Wiśle o 3 metry wyżej

Uwzględniając konieczność bezpośredniego połączenia Krakowa ze Śląskiem, projekt czyni stary układ miasta jak naj-



Projekt konserwatorski architekta Tadeusza Janowskiego — zespołu obronnej bramy wjazdowej na Wawel.

bardziej przelotowym w kierunku na Nową Huta. Równocześnie licząc się z podniesieniem stanu wody o 3 metry na Wiśle przez budowę odpowiednich urządzeń w Nowej Hucie, projekt inż. Solawy wprowadza kanał odciążający główne korzyto między zespołem zabytkowym Norbertanek, Wawelu i Skałki. W ten sposób leżąca naprzeciw wzgórza wawelskiego dzielnica Dębniaki będzie wyspą. Utworzenie sztucznego jeziora u stóp Bielani i wzgórze z kopcem Kościuszki, pozwoli z jednej strony miastu na zgromadzenie poważnych zapasów wody potrzebnych dla wielkiego Krakowa i kombinatu, umożliwi także powstanie ośrodka sportów wodnych, nawet dla żaglowców. Równocześnie, podniesiony stan wody zetknie bezpośrednio skałę Norbertanek, Wawelu i Skałki ze zwierciadłem wody, co dla powyższych zespołów zabytkowych z konserwatorskiego punktu widzenia, przywróci im dawny wygląd i da perspektywicznie wspaniałe rozwiązanie.

O daleki widok Wawelu

Projekt inż. Solawy przewiduje równocześnie odtworzenie zburzonych w XIX w. murów miejskich, przywrócenie staroobronnego charakteru zespołowi zabytkowemu w ich pobliżu, co

można osiągnąć niewielkimi zabiegami konserwatorskimi, po usunięciu późniejszych zniekształceń. Równocześnie przeświły dokonane przez nieodwołne cięcia urbanistyczne w dzielnicach niezabytkowych, pozwolą oglądać wzgórze wawelskie i inne eksponowane zespoły zabytkowe z dalekiej perspektywy. Między innymi szeroki prześwit z zaprojektowanego, całkowicie zelektryfikowanego dworca, pozwoli oglądać całą wschodnią partię dawnego miasta. Równocześnie inne przeświły na Dębnikach, czy innych dzielnicach odsłonią widok na zgrupowane zespoły zabytkowe np. Skałki, kościoła św. Katarzyny i Bożego Ciała na Kazimierzu, na widok Wawelu itd.

Ta niezwykle pieczołowita uwaga skierowana na zabytki oraz ich odpowiednią oprawę konserwatorską, przy równoczesnym wzięciu pod uwagę wszystkich postulatów życia współczesnego i jego gospodarczych wymagań, była podstawą sukcesu nagrodzonego projektu.

Otwarta wystawa pozwoli nie tylko zapoznać się szeroko z ogólnym społeczeństwem z nagrodzoną pracą i wszystkimi próbami urbanistycznymi — architektonicznymi i konserwatorskimi — otoczenia wzgórza wawelskiego. Odbijające się na niej dyskusje konserwatorskie i architektoniczne raz jeszcze poddadzą wnikliwej analizie sporne problemy. Ponieważ realizacja nastąpi już w roku 1955, dlatego spodziewać się należy, że w niedługim czasie będziemy oglądać Wawel i jego otoczenie w należytej oprawie.

Jubileusz literatki poznańskiej

Pięćdziesiąt lat twórczości MARI WICHERKIEWICZOWEJ

W pracach literackich, naukowych i popularizatorskich Marii Wicherkiewiczowej przebiega szczególnie silne przywiązanie autorki do starych, pięknych tradycji naszego miasta. Znajdujemy więc w jej pracach wiele szczegółów obyczajowych i atmosferę naszego regionu z okresu renesansu. Jest to tym bardziej cenne, gdyż wszelkie szczegóły oparte są na bogatych studiach archiwalnych, jakie autorka przeprowadziła.

Poza powieściami historycznymi na uwagę zasługuje także praca „Rynek Poznański i jego patrycjat”, w której Maria Wicherkiewiczowa z wielką pieczołowitością zbierała materiały dokumentacyjne różnych zabytków Starego Miasta. Książka powyższa ukazała się w roku 1925 i długo nie mogła znaleźć nakładcy — mimo, że autorka zrezygnowała nawet z honorarium, ofiarując rezultat swych długoletnich studiów — Poznaniowi. Tymczasem po wojnie, gdy znaczna większość zabytkowych kamieniczek uległa zniszczeniu, właśnie z zawartych w książce szkiców fasad, materiałów ikonograficznych, rysunków architektonicznych, korzysta się przy odtwarzaniu dawnego kształtu Starego Rynku i jego okolicy.

Wielkopolska była szczególnie bliską najstarszej autorce naszego środowiska literackiego. Od roku 1904, gdy zadebiutowała drobnymi utworami poetyckimi w prasie wielkopolskiej („Praca” i „Wielkopolska”), co roku publikowała do lat ostatnich kilka, a nawet kilkanaście prac z zakresu historii regionu wielkopolskiego. Miały one znaczenie w okresie zaborów, jako opór przeciwko tendencji szowinistycznej, pruskiej, która systema-

tycznie forsowała tezę o „niemieckości” Wielkopolski.

Maria Wicherkiewiczowa zbierała też wiele materiałów monograficznych o wybitnych i zasłużonych dla kultury Wielkopolski. Kilka z tych prac doczekało się zamieszczenia na łamach pism naukowych, niektóre — jak np. „Jan Dill, złotnik poznański” albo „Antoni Hoene, królowski — polski budowniczy” —



Maria Wicherkiewiczowa

— były referowane na posiedzeniach Polskiej Akademii Umiejętności.

W okresie powojennym sędziwa autorka (ur. 1875 r.) napisała trzy większe pozycje „Kochanek wieków” — opowieść o dziejach odbudowy ratusza w okresie renesansu i mistrzu Janie Baptystie Quadro; „Amor czy Gryf” — opowieść o zamku szczecińskim z 1570 r.; „Książka wiedz” — opowieść o znanym w Europie lekarzu poznańskim — Józefie Strusiu.

Fragment jednej z ostatnich prac literackich zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego dodatku niedziel-

ty jej imienia. Będziemy mieli bohaterów, w których odrzodzi się na nowo. Będziemy mieli życie, dla którego nie będzie się jedno miasto. Będziemy takim państwem, jakim nigdy przedtem nie byliśmy.

Spełniły się marzenia autora „Poruszmy z posad ziemię”. Odeszły w bezpowrotną przeszłość Węgry — niegdyś kraj trzech milionów zebrań, kraj wynędzniałych, ciemnych pastuchów, wypasających tabuny koni na ziemniach magnackich latyfundiów, kraj „zbędnych rąk” i tysięcy bezrobotnych.

Nad brzegami Dunaju dziś 9 milionów wolnych ludzi raduje się swą ojczyzną i pracuje dla chwały jej imienia, dla szczęśliwego i dostojnego jej życia. Bohaterowie lat dawnych, którzy oddali życie w walce o wolność narodu — odradzają się dziś w bohaterach czasu nowego — w całej tej wielotysięcznej armii pracowników, której trud i wysiłek, pod przewodnictwem węgierskiej partii pracujących, przy braterskiej pomocy Związku Radzieckiego i wszystkich krajów obozu socjalizmu — przekształca Węgry w „takie państwo, jakim nigdy przed tym nie było”.

W ciągu niebawle krótkiego czasu odbudowano na Węgrzech zdevastowaną przez wojnę gospodarkę narodową, zlikwidowano straszliwy bicz przedwojennych Węgier — bezrobocie, stworzono nowe gałęzie przemysłu, których rozwój zmienił całkowicie oblicze wielu zacofanych dawniej i czysto rolniczych rejonów republiki. Przy pomocy Związku Radzieckiego rozpoczęto produkcję niewytwarzanych dawniej maszyn i urządzeń jak kombajny węglowe, maszyny do mechanizacji robót budowlanych, urządzenia do zakładów chemicznych. W roku 1952 zaczęto produkować tokarki i frezarki, potężne traktory gąsienicowe, trolejbusy nowego typu i koparki.

W mieście Stalinvaros buduje się wielki kombinat metalurgiczny imienia Stalina, po którego uruchomieniu produkcja stali w kraju wzrośnie dwukrotnie, produkcja surowki zaś — prawie czterokrotnie. W Doszder — sercu węgierskiego hutnictwa — przy pomocy radzieckich specjalistów uruchomiono nowy wielki piec, dający obecnie trzykrotnie więcej surowki niż dwa pozostałe piece, wybudowane przed wojną. W Kazinbarczik powstaje kombinat chemiczny, który będzie produkował trzykrotnie więcej nawozów sztucznych niż wszystkie dotychczas istniejące przedsiębiorstwa tej gałęzi przemysłu. W ramach planu pięcioletniego powstanie na Węgrzech 30 nowych ośrodków przemysłowych.

W referacie na plenum KC Węgierskiej Partii Pracujących w październiku ub. roku, Matyas Rakosi oświadczył, że głównym celem polityki gospodarczej partii i rządu jest „wydatne i stałe podnoszenie stopy życiowej ludności, polepszenie socjalnych i kulturalnych warunków życia ludzi pracy”. „Niezbędnym warunkiem dla osiągnięcia tego celu jest rozwój rolnictwa, które na Węgrzech staje się coraz bardziej nowoczesnym, socjalistycznym rolnictwem. W ostatnich latach utworzono na Węgrzech 364 ośrodki maszynowo-traktorowe, wyposażone w najnowsze maszyny rolnicze. Przekonując się na własnym doświadczeniu o wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną, coraz więcej chłopów jednoczy się w spółdzielnie produkcyjne, które obejmują już jedną czwartą wszystkich gruntów ornych. Jednocześnie rząd otacza troskliwą opieką indywidualne gospodarstwa pracującego chłopstwa.

Dzięki szybkiemu rozwojowi rolnictwa, w drugim półroczu 1953 roku wyprodukowano na Węgrzech o 28,5% więcej masy niż w pierwszym, tłuszczów i słoniny o 22,4% więcej, cukierków o 75,2% więcej itd.

Miara osiągnięć Węgier na drodze do podniesienia stopy życiowej ludności są cyfry

wykonania planu za rok 1953. Jak stwierdził na posiedzeniu zgromadzenia państwowego w dniu 23 bm. przez rady ministrów, Imre Nagy, w roku ubiegłym przemysł wykonał plan w 101,3%, przekraczając produkcję 1952 r. o 11,8%, inwestycje w przemyśle ciężkim były w drugim półroczu o 35,5% większe niż w pierwszym, w przemyśle lekkim o 169,9%, w przemyśle spożywczym zaś — 103,5% większe.

Dzięki tak znacznemu rozwojowi przemysłu i rolnictwa, rząd węgierski mógł w roku 1953 dwukrotnie obniżyć ceny detaliczne wielu artykułów. W wyniku obniżki cen, robotnicy i urzędnicy zyskali w ciągu 4 miesięcy ub. roku 550 milionów forintów, zaś w roku 1954 zyskają 1200 milionów forintów. Obniżenie cen przyniosło również chłopom dochód w wysokości około 490 milionów forintów.

Z takim oto dorobkiem rozpoczyna Węgierska Republika Ludowa w dniu dzisiejszym dziewiąty rok swego istnienia. Rok dalszej, wytężonej pracy dla socjalistycznej ojczyzny, dla zapewnienia ludziom pracy życia, w którym, jak mówił wielki poeta Sandor Petofi, „światło ducha” — światło kultury, postępu, pokoju — trwałym i mocnym blaskiem płonąć będzie „w oknie każdego domu”. Na tym nowym etapie drogi do szczęśliwej przyszłości, naród polski i wszystkie miłujące pokój narody życzą Węgierskiej Republice Ludowej jak największych sukcesów.

M. D.

SKALPEL ultradźwiękowy Ciekawe doświadczenia medycyny radzieckiej

Ultradźwięki nie należą do nowości. Jest to nowy rodzaj energii, coraz szerzej stosowany w przemyśle, szczególnie do celów kontroli jakości wyprodukowanych części metalowych. Jak wiadomo — ultradźwięki są „głosem” o wyjątkowo wysokiej częstotliwości drgań i odpowiednio krótkiej długości fali. Już od kilku lat prowadzi się doświadczenia w celu zastosowania ultradźwięków w lecznictwie. Poza skutecznym działaniem na różne schorzenia, jak np. neurologiczne, ischias, sklerodermę itd. uzyskano zupełnie dobre wyniki w leczeniu wrzodów żołądka i owrzodzenia gołeni. Doświadczenia wykazały także, iż nasświetlanie falami ultradźwiękowymi silnie działa na czerwone ciała krwi, oraz powoduje rozpad niektórych bakterii. Hamuje także — co sprawdzono, jak dotąd tylko na zwierzętach — rozrost tkanek rakowych.

Specjalne jednak znaczenie posiadają ultradźwięki w chirurgii i diagnostyce. Rozchodzi się one bowiem z nierównomierną szybkością sygnalizującą w ten sposób nie tylko ukryte w organizmie obce ciała (które można również wykryć aparatem rentgenowskim), lecz opuchlizny, stany zapalne, ropnie i inne zmiany w tkankach. Dla takich celów budowano specjalną sondę ultradźwiękową, która składa się z metalicznych macek i piezoelektrycznego telefonu. Jak wykazały liczne doświadczenia w szpitalach i klinikach radzieckich, sonda taka można wykryć nie tylko metalowe i kostne odłamki tkwiące wewnątrz organizmu, lecz także określić bardzo dokładnie ich charakter, co jest dla leczenia chirurgicznego niezwykle ważne. Jeżeli odłamek ma krawędź szorstką, dźwięk w telefonie jest przerywany, jeżeli natomiast fale napotykają powierzchnię gładką, szmer dochodzi równy, ciągły.

Z sondą można połączyć skalpel chirurgiczny, przy czym sonda jest wmontowana w specjalne szczypce. Przecinając tkanki różnej prężności, głos w słuchawkach różnorośnie. Z rodzaju dźwięku chirurg dowiaduje się, jaką przecina tkankę. Jest to szczególnie praktyczne przy wycinaniu operacyjnym nowotworów.

Skalpeli ultradźwiękowych nie stosuje się jeszcze powszechnie, lecz pierwsze doświadczenia radzieckie zachęcają do dalszych prac. Specjalny naukowo-badawczy Instytut Fizjoterapii w Moskwie przeprowadza obszerne prace nad zastosowaniem ultradźwięków w medycynie. Ogromna większość zaplanowanych doświadczeń wstępnych ma być ukończona już w bieżącym roku.

Fr H.

WIECIEŚ	MAJ	CZERWIEC	LIPIEC	SIERPIEŃ	WZIEŚIEŃ	PAŹDZIEŃ	LISTOPAD	GRUDZIEŃ	STYCZEŃ	LUTY	MARZEC
I	BURAKI PASTEWNE										
II	MIESZANKA STRĄCZKOWA										
III	ŻYTO PASTWE										
IV	WYKA OZIMA										
V	KAPUSTA PASTEWNA										
VI	MIESZANKA STRĄCZKOWA										
WIECIEŚ	MAJ	CZERWIEC	LIPIEC	SIERPIEŃ	WZIEŚIEŃ	PAŹDZIEŃ	LISTOPAD	GRUDZIEŃ	STYCZEŃ	LUTY	MARZEC
TAKIE PASZE SA DO ROZPO- DZENIA W POCZĄTKU MIESIĄCACH	PRZEKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ	WYKAZ WYKAZ WYKAZ	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA	MIESZANKA STRĄCZKOWA
ŻYWIENIE LECIŃ I ZIMOWE UZUPEŁNIENIE KWASZCZANKAMI I SIEMEM Z ZIELONK.											

W/G W. CHMIELECKIEGO

Podstawowym warunkiem rozwoju hodowli: nieprzerwany płodozmian roślin pastewnych

Mgr inż. Kazimierz Jankiewicz

Uchwała Rady Ministrów z dnia 17 grudnia 1953 roku w sprawie zapewnienia niezbędnych środków dla hodowli zwierząt gospodarskich i rozwoju bazy paszowej stawia przed rolnictwem wielkopolskim ważne zadanie. Rozlegające się po kraju wezwanie — więcej chleba, więcej mięsa, mleka oraz tłuszczów musi w pierwszym rzędzie zmobilizować wieś wielkopolską, jako czołowego producenta w kraju do wykorzystania

Wskazywać powinniśmy, że w zielonkach uzyskujemy z hektara olbrzymie ilości masy paszowej. Średni płon na przykład kapusty pastewnej wynosi 400 kwintali, mieszanki peluski z owsem — 350 kwintali, seradeli — 200 kwintali, konskiego zębu — 500 kwintali, wyki pastewnej z żytem — 300 kwintali, słonecznika — 350 kwintali, koniczyzny — 250 kwintali i lucerny do 400 kwintali. Zielonka jest paszą bogatą w białko, a wiadomo, że białko w paszy najdrożej kosztuje i w gospodarstwie jest o nie najtrudniej. Zazwyczaj wypada dokupować wysokobiałkowe pasze, chcąc osiągnąć wysoką produkcję na przykład mleka lub szybki opas młodych sztuk trzody chlewnej. Przy użyciu zieleniny, dzięki znacznej zawartości białka, nawet przy wysokiej produkcji można ograniczyć dokup pasz treściwych.

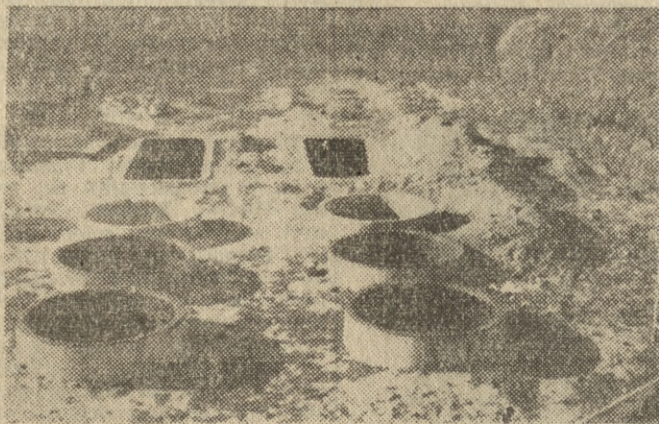
W normalnym płodozmianie niemożliwością prawie jest tak wykombinować, by zieleniny w pewnych okresach nie zabrakło, a w innych nie było nadmiaru. Otóż poza normalnym głównym płodozmiannem, który również dostarcza zasobów paszowych, w każdym gospodarstwie hodowlanym powinien być zaprowadzony płodozmian dodatkowy. Trzeba więc zasiać takie rośliny, które by dostarczyły zielonej paszy od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

czas należy przygotować słonecznik na zielonkę lub kukurydzę, zasianą jako płon główny. Gdy i te rośliny zostaną spalone, podrasa słonecznik, zasiany jako poplon po życie z wyczką ozimą. Gdy i ten spasiemy, dorasta słonecznik, zasiany po mieszance poznajskiej. We wrześniu zbierać możemy facelę, którą zasiał po słoneczniku. Facela rośnie bardzo szybko, nierzadko w 6 tygodniach po zasianiu jest gotowa do skarmienia, a poza tym wyjątkowo wytrzymała na suszę (podobnie jak słonecznik).

W październiku zazwyczaj paszy zielonej jest pod dostatkiem. Zaczynają się wykopki, jest więc obfitość liści buraków, naci marchwianej, poza tym ścierniówki koniczyzny i seradeli. W drugiej połowie października mamy do dyspozycji kapustę pastewną, należy spasać przez cały listopad i grudzień, tak by możliwie jak najdłużej przeciągnąć okres paszenia tanią zielonką.

Jak więc widzimy, przy należytych założeniach płodozmiannu pastewnego, co ilustruje reprodukcję wykresu, można mieć od wczesnej wiosny do pierwszych mrozów, a nawet po pierwszych mrozach zieloną karmę, niezależnie od tego, co posialiśmy dla inwentarza na głównym płodozmianie, niezależnie od pastwiska.

Brak naturalnych pasz soczystych w okresie zimy i



Jedną z wielu baterii silosowych do kwaszenia pasz zielonych, zbudowaną według projektu autora artykułu w jednym z gospodarstw doświadczalnych Technikum Rolniczego. Można również kwaszyć w odpowiednio przygotowanych dołach ziemnych.

Najdroższy okres pasienia — to okres zimowy. Powinniśmy się starać skrócić ten okres w ten sposób, by już w kwietniu mieć pierwszą zieloną paszę, jaką jest rzepak na zielono. Po skarmieniu rzepaku, na początku maja musimy mieć przygotowane żyto z wyką na zielono, po zdrewnieniu żyta z wyką, pasć wykę z jęczmieniem ozimym lub pszenicą. Około 20 maja przejść na mieszankę poznajską lub pierwszą pokos lucerny, po pierwszym pokosie lucerny mieć pierwszą pokos koniczyzny, po pierwszym pokosie koniczyzny drugi pokos lucerny, po drugim pokosie lucerny — drugi pokos koniczyzny.

Po drugim pokosie koniczyzny znów gospodarstwa od czuwają brak paszy. Na ten

przedwiośnia uzupełniają bu rak pastewne, a zwłaszcza półcukrowe, a poza tym poważną rezerwą paszową są kiszonki, które nagromadziłyśmy z okresu wiosny, lata i jesieni. Jednak kiszonki nie tylko przeznaczone są na okres paszy zimowej; w każdym gospodarstwie racjonalnie prowadzonym, stanowią one powinną — rezerwę paszową. Nadejdzie w lecie susza, zawiadła zielonki, odkrywa się wtedy zbiorniki kiszonkowe i gotowa karma. W naszym suchym klimacie, a szczególnie suchym maju i czerwcu, powinniśmy się liczyć z tym, że te lub inne zielonki mogą się nie udać. Dlatego właśnie powinna być rezerwa w kiszonkach.

Kisic powinniśmy wszyst-ko, co się da, aby jak naj-

Jod można regenerować!

Ciemnoszare, krystaliczne płytki rombów jodu są na ogół dobrze znane czytelnikowi z jego spirytusowego roztworu, zwanego popularnie jodyną. Obok jodyny istnieje jeszcze cały szereg preparatów jodowych stosowanych z powodzeniem w lecznictwie.

Pierwiastek ten nie występuje w przyrodzie w stanie wolnym. Nie spotyka się też minerałów bogatych w jod. Występuje on w wodzie morskiej, w solach kopalinianych, w saletrze chilijskiej, a także wodorostach morskich — algach, które obok saletry chilijskiej i solanek są głównym źródłem otrzymywania jodu.

Używanie jodyny przy zranieniach ma swoje uzasadnienie w dezynfekcyjnym działaniu jodu. Ta też właściwość jodu sprawia, że odgrywa on doniosłą rolę w procesie wyjąłowania jelit przeznaczonych do wyrobu strun chirurgicznych. Setki kilogramów jodu pochłania produkcja tych strun w Zakładach Farmaceutycznych „Chirurgofil” w Poznaniu. Jod jest bardzo cennym surowcem importowanym, a jego zapotrzebowanie w samej tylko produkcji leków jest ogromne.

Tak więc import jodu do kraju związany jest z dużymi kosztami. Wiedzieli o tym dobrze pracownicy Zakładu Chemii Farmaceutycznej A. M. w Poznaniu pracujący pod kierunkiem profesora dr. Fr. Adamanisa; nawiązali oni, po odbytej w ubiegłym roku wojewódzkiej naradzie robotników z naukowcami, kontakt z producentami strun chirurgicznych. Odtąd, a do dzisiaj, od czerwca ub. roku, co pewien czas wędrowały z produkcji do Zakładu próby zużytego roztworu jodu celem zbadania możliwości jego regeneracji.

Adiunktów Zakładu Chemii Farmaceutycznej dr. J. Szlangę i F. Cynajka zastaliśmy zaabsorbowanych pracą. Były to już ostatnie ich

doświadczenia nad wyodrębnieniem jodu. Pozostało mi tylko zapytać o wyniki.

— Trzeba tutaj zaznaczyć — mówi dr. Cynajek — że osiągnięcie dobrych wyników naszych badań zawdzięczamy przede wszystkim doświadczeniom radzieckim, prowadzonym nad otrzymywaniem jodu z solanek. Opierając się na badaniach uczonych radzieckich mogliśmy poczynić pewne usprawnienia, które skróciły czas regeneracji jodu o 5 dni.

— A materialne korzyści? — Z ponad miliona litrów roztworu jodu będzie można uzyskać w skali rocznej około 750 kg czystego jodu, co oznacza 130 000 zł oszczędności rocznie w samej tylko poznańskiej wytwórni.

— A tym samym zaoszczędzi wiele cennych dewiz — kończy.

Wypada jedynie pogratulować poznańskim farmaceutom osiągniętych wyników, stanowiących cenny wkład pracy nad zaoszczędzeniem reglamentowanego surowca, a z drugiej strony życzyć Centralnemu Zarządowi Przemysłu Farmaceutycznego w Warszawie jak najwcześniejszego zastosowania metody regeneracji jodu w podległych sobie zakładach produkcyjnych.

J. Lut.

Maria Wierhiewiczowa

Fragment powieści „Kochanek wieków”

KONTRAKT

W czasie przerwy w rozprawach, gdy wszyscy wyszli z dużej sali na powietrze — przechadzał się mistrz Quadro po chłodnym krąganku ratusza. Niecierpliwiła go zwłoka, spowodowana kanikłą i prężnością biatogłowską. Poczęły go dręczyć wątpliwości różne i niepokojące. Rozwagał, czy zwycięży? Czy mu uwiereją? Czy w ręce niezanętego medyka — murarza oddadzą ową chorą, chwiejną wieżę? Był z niej uczynił byszącą, stojącą, wyniosłą, dumnie nad miastem panującą — wieżę ratusza, koronę byszącą cą grodu! Wszystko było jeszcze wątpliwe i niepewne. Wahające się, chwiejne jak owa wieża. Ale on, mistrz Quadro — musi dziś zwyciężyć. Tak sobie postanowił. Zawsze był trochę ryzykantem w życiu.

Po chwilowej przerwie zabrano się znów na sali. Burmistrz mitygował przeciwników Quadra, odsuwał propozycje zwolenników starego Lorenca. Wreszcie uproszono zniecierpliwionego zwłoką mistrza Quadra, by zabrał głos i ujawnił swe plany. Quadro powiódł wzrokiem po obywatelach, co w trosce o starożytny gmach oczekiwali wyroku architekta. Quadro prze mówił.

— Przysięgam od razu do sedna rzeczy. Proszę uważać! Najważniejsze miejsce: gdzie wieża się chyli i grozi zawaleniem! Tam od zachodniej strony zrobić przybudowanie. Dość duże, dwanaście łokci wysokie. W ten sposób wzmocnię wieżę w pośrodku gmachu. Proszę uważać, wieżę umocnić w pośrodku budynku. Tym sposobem dam budynkowi trwałą podporę. Wieża będzie osadzona w pośrodku gmachu. Czy rozumiecie? W pośrodku gmachu... wieża! Smer się rozszedł po sali — szmer uznania.

— Jakie proste rozwiązanie sprawy.

— Proste a genialne! Nikt na to nie wpadł.

— To by też Wawrzyniec potrafił! Ale był przeznany.

— Teraz to wszyscy mądrzy. Jak z tym jaskiem Kolumbusa. Na to trzeba być ryzykantem.

— Lepsi łut szczęścia, niż funt rozumu!

A Quadro mówił dalej spokojnie:

— Plan mój przedkładał dla uznania magistratu. Ządanie dopiero w projekcie. Ale wykonanie wymaga skoncentrowania sły i myśli. Zarazem połączę przybudówkę z murem zachodnim drugiego

piętra. To nam da większą przestrzeń. Aby prześwietla rada miasta Poznania w obszernej, pysznej sali mogła wygodnie myśleć o losach miasta. Chęć, by gmach ten był chlubą i dumą Poznania, by splendoru dorzucił miastu i signorii.

— Prawda — zalił się burmistrz, ta ruina niegodnym przybytkiem władzy. Nagle odezwali się głosy przeciwników.

— Veto, nie damy, wieża runie!

— Nie chcemy wieży z marmuru! — wołał ktoś.

Powstał gwar, protesty, gwałtowne śmiechy. Pytano o styl, charakter, o losy gotyckich drzwi i okien — pamiętek po Piastach, wołano o zachowanie ostrego łuków sklepienia. Chciano zachować dawny styl. Gwar i tumult rósł. Nie pomagały perswazyje. Jakaś animozja rosła przeciw cudziemu, przeciw nowościom.

Italczykowi błysnęły oczy.

— Wymawiam sobie swoją koncepcję. Idę nową drogą. Nie naśladowe nikogo. Idę z prądem czasu. Sam decyduję.

Rozległy się okrzyki. Nawoływano do zgody i porządku, do ciszy.

— Czy chcecie czekać lata, aż wieża runie, dość nam częściej gadaniny z Lorensem! — wołał burmistrz. Czas mi ja.

Zaległa cisza. Teraz rozległ się dźwięczny głos. Mówił Quadro:

— Gdyby tę ruinę dało się zachować, chętnie ją uszanował. Ale to niemożliwe. Tylko wieżę się da z trudem utrzymać, fundamenty, sklepienia, oraz niektóre fragmenty gotyki. Te dawne pamiętki, związane z przeszłością miasta, niech pozostaną jako wspomnienia pełnych chwały Piastów królewskich! Odezwały się okrzyki i bra

wa. Burmistrz zwrócił się do pisarza, pochylonego nad księgami:

— Panie pisarzu miejski, teraz prosimy o twą pomoc.

Zaszeleściły pergaminy, ostrono pióra. Zaczem pan Winkler w asyście skrybentów poczęł układać tekst umowy. Zaskrzypliły pióra, ale przerwało znowu.

O głos prosił Jakub Dalmota z Bolonii, rzeźbiarz i kamieniarz.

— Przypominam ważną sprawę. Gdzie kamienie i marmury?

— Konieczny to w budownictwie materiał — przyznał pan Albert Józef.

— Wypadaloby, żeby mistrz Quadro z naszym pełnomocnikiem udał się na Śląsk do kamieniołomów. Konieczne. I więcej artystów z Italii sprowadzić.

— Zaraz wyjeżdżam z Dalmotą na Śląsk. A gdy wrócę, rozpoczynam budowę ratusza — zawołał Quadro. — Bez marmuru Italczyk nie buduje.

Po kilku godzinach uciążliwych konferencji ułożono wreszcie kontrakt. Spisywał go pan pisarz miejski Błażej Winkler w asyście skrybentów. Od tej chwili aż do zgonu łączyła go długoletnia przyjaźń z budowniczym ratusza — murarzem z Tessynii.

Wreszcie skrypt był gotów. Winkler przeczytał go zbranym na sali słuchaczom — głośno i dobitnie. Poczem znów zwrócił się do skrybentów:

— Pióra, skrypturalik, inkaust, piaseczniczek.

Skrybulanci skwapliwie temperowali nożykami pióra. Słychać było szelest papierów. Wreszcie zapanowała ukojona cisza. I tylko pisarz miejski dobitnie głosił ważny dla ratusza kontrakt...





Monolog dyrektora

— czyli porządek dzienny

— Przepraszam, czy w kwaterze Adenauerowskiej nie ma pokoju nr 4?

— Nie, od chwili kiedy mówi się o konferencji czterech, Adenauer nie może na czwórkę patrzeć.

Cześć towarzysze, siadajcie proszę! Wy tutaj przy palnie towarzyszu przewodniczący, a wy tam, towarzyszu wiceprzewodniczący, pod oknem. Przysłuchajcie się, pewnie w sprawie porządku dziennego zebrania związkowego. No, cóż, słucham waszych propozycji. Mówcie to, towarzyszu wiceprzewodniczący. Zresztą nie chcę sugerować. Może wolicie, aby referował przewodniczący. Co? Nie wolicie? A więc proszę was, towarzyszu wiceprzewod-

Piotr Laski

niczący. Punkt pierwszy, przypuszczam, najlepiej, zagajenie. Zagajenie, prawda? A więc krótko i treściwie zagaję nawiązując do uchwały tak powitam obecnych i powołam prezydium.

Macie listę prezydium? Wiadzę, że macie. Pozwólcie... Hm, hm! Wiśniewskiego trzeba poprosić, ale Kamińska, po co Kamińska? Wyjątkowo niesubordynowany pracownik! Trzykrotnie przodownictwo pracy oderwało ją zupełnie od mas. Śmiał tak tużdzić, bo na przykład przestała się kłaniać mojej żonie. Zresztą nie chcę was zasmuczać. Zebra-

zont myślowy. Jemu... zresztą nie będę sugerował. Proszę bardzo! Chcecie w prezydium Marcza, niech sobie będzie, ale ja nie biorę na siebie odpowiedzialności. Więc co? Proponujecie jednak żeby Marcza skreślić? Brawo. Szanuję ludzi samodzielnie myślących. Na jego miejsce wprowadzimy do prezydium Micię Zbigniewską. Pierwszorzędnie stenografuje, poza tym reprezentacyjna, tego... Wszyscy wiedzą. Zgoda?



nie związkowe. Więc co? Kamińską skreślamy. Dopiszemy w to miejsce Walczaka. Poczuwina zasłużył sobie na to. To człowiek pełen entuzjazmu. I rzecz prosta, oddany, staje zawsze na linii. Pamiętacie, jak ostatnio gorąco okłaskiwał moje przemówienie?

A to znówu kto? Marczak. Hm, hm. Odkąd Marczak został korespondentem nie można z nim pracować. Wszystko co dyrekcja postanowi ne-

zont myślowy. Jemu... zresztą nie będę sugerował. Proszę bardzo! Chcecie w prezydium Marcza, niech sobie będzie, ale ja nie biorę na siebie odpowiedzialności. Więc co? Proponujecie jednak żeby Marcza skreślić? Brawo. Szanuję ludzi samodzielnie myślących. Na jego miejsce wprowadzimy do prezydium Micię Zbigniewską. Pierwszorzędnie stenografuje, poza tym reprezentacyjna, tego... Wszyscy wiedzą. Zgoda?

Nowojorski konkurs

Z. Grotowski

Wydawca brukowego dziennika nowojorskiego wezwał do siebie jednego z najbardziej przebiegłych i pomysłowych współpracowników.

— Musimy za wszelką cenę podnieść nasz nakład. Konkurencja bije nas rewelacjami o skandalach łapówkowych. Trzeba wymyślić coś jeszcze bardziej sensacyjnego.

Jim Dawson zamyslił się.

— Jedyną większą sensacją może być brak afer łapówkowych.

Wydawca zmierzwił go pogardliwym spojrzeniem.

— Mój panie, ale nie wolno panu zapominać, że mój dziennik przynosi prawdę i tylko prawdę...

guje panu taka odpowiedź, że spadnie pan pod stół.

— Proszę, oto czek na 5000 dolarów.

— A więc ogłosimy tak: „Nie podaliśmy w naszym numerze porannym żadnych wiadomości o nowych aferach łapówkowych, gdyż nasz wydawca otrzymał 10 tysięcy dolarów łapówki za prze-miłozenie nowej skandalicznej afery łapowniczej w zarządzie miasta.”

No co, szefu, raz przy najmniej podzielił się sprawiedliwie po połowie.



Następny punkt, wybory władz i zakończenie. No cóż, macie jakiś rozsądny projekt? Nie chcę sugerować, lecz myślę, że będzie najsluszniej, jeśli na zakończenie powiem parę ciepłych słów do zebranych. Mam już nawet przygotowane — kilka stroniczek. Takie ciepłe podsumowanie naszych osiągnięć i sukcesów. To byłoby chyba wszystko. Bardzo się cieszę, że tak wspólnie, kolektywnie, tak razem, moi drodzy opracowaliśmy ten porządek dzienny związkowego zebrania.

S. MARSZAK Tłum.: A. Jam Ochocki

Karol i karze

Zarząd miasta Aachen w zachodnich Niemczech przyznał Konradowi Adenauerowi, kanclerzowi z Bonn, „Miedzynarodową nagrodę pokoju” im. Karola Wielkiego...

(z prasy)

Zdziwił się cesarz i potarł brodę, Kiedy mu „Zeitung” podano: — Co widzę? Ktoś tu dostał nagrodę Imieniem moim nazwaną!

Wprawdzie rządziłem światą polową, Rzym pognębiłem wyniosłe, Ale pokój, daję wam słowo, Nie chciałem, tkwiąc w swym rzemiośle.



W żalobę wiele kobiet odziałem, Potwierdzam całkiem ten zarzut... A kłó to taki ten Adenauer? — To bonński kanclerz, cesarzu!

— Aha... Więc on to stoi na straży Pokoju świata, co? — Oj, nie! Jemu się Wehrmacht i odwet marzy, Ku nowej dąży on wojnie!

— Czemu więc został tak nagrodzony? — Dlatego, że słowo „pokój” Używa jako dymnej zastory Dla swoich zbrodniczych kroków...

Tu srogi cesarz zawołał: — Holo! Nie chcę z nim mieć nic wspólnego. Gdy ma nagrodę już być Karola, Niech będzie, ale... Łysego! *)

*) Karol II Łysy, król francuski, 840—877. Kapryśny, samowolny, ulegający zmiennym wpływom, rządził bardzo nieudolnie.

Rozmowa książek

Tad. H. Nowak

Gdy szczerka zatrząsk zamkniętych drzwi, gdy zupełna cisza i mrok zaległy pokój w pełniony półkami, na których książki tulili się do siebie — odczuwał się nieoczekiwanie głos „Małej Dorrit”: „Mamusiu, boję się”.

Dziewczęcy szep, a przecież rozbrzdził inne książki, gdyż z samego kąta półki odezwała się „Kuzynka Betka” i powiedziała

„Słuchajcie! Jest nadzieja (za dwa grosze), że się przecież uratujemy. Mój sąsiad jest nie duży, skromnie wygląda i nazywa się bardzo dziwnie. Uważajcie: BIHP. Otóż BIHP twierdzi, że jeżeli w tych dniach uda się mu wpaść w ręce jakiegoś pracownika tej biblioteki, to na pewno niebezpieczeństwo będzie zażegnane. Na pewno naprawia sufit nad naszymi półkami, albo

przynajmniej przeniosą nas do innego pomieszczenia. BIHP po władze, że nie podobna wreszcie, by w Kole nie znalazł się inny lokal dla Biblioteki Publicznej”.

To usłyszawszy, wstał „El Hakim” i zalecił wszystkim udanie się na spacer.

Tylko „Mała Dorrit”, zasypiając, szeptała przez łyż: „Już tyle miesięcy drzy nad nami sufit, szczęście, że się dotąd nie zawalił. Cała teraz nadzieja w tym dobrym BIHP”.

I zasnęła.

— Zrobi się — zawołał wesoło Jim. — W wydaniu porannym ogłosimy błyskawiczny konkurs. Odpowiedzi można nadsyłać do wieczora.

— Jaki to będzie konkurs?

— Ogłosimy po prostu: „W dniu dzisiejszym nie przynosimy żadnej nowej wiadomości o wykryciu dalszych afer korupcyjnych. Kto zgadnie, dlaczego brak jest u nas tej codziennej rubryki — otrzyma 1000 dolarów nagrody.”

— No świetnie, a jaka będzie odpowiedź?... zawołał wydawca. Jim spojrział na swego szefa.

— Wczorajem wydaliśmy dziesięciokrotnie powiększony nakład z jedną jedyną nagrodzoną odpowiedzią.

— Jaką? — zawołał z niecierpliwością wydawca.

— Naprzód zaliczka 5000 dolarów na stół, a potem zreda-



Dwa bale

Postanowił król zwierząt na cześć karnawału. Bal uspaniał wyprawić. Niech świat zwierząt tańczy. Książę właśnie nad lasem wędrował pomatu podobny do złocistej wielkiej pomarańczy.

Zaczęły się więc tany na leśnej polanie... Zebra płaza z niedźwiedziem, żyrafa ze słoniem, lampart krzepko wpół objął śmigło — chyżą łanią, a sardynki tańczyły z tuściutkim okoniem...

Grał zaś im chór słowików, choć to była zima. (Bo w porze różniczeń tak subtelnych nie ma) Dość, że pod pełne tęsknot, srebrzyste melodie zwierzęta się bawiły i pięknie i zgodnie!

W karnawale

Zaszedłem do pewnej instytucji, w której mam wielu znajomych.

Kowalczak siedział przy biurku, lecz twarz miał tak zmęczoną, iż jego praca w tym dniu nie była zbyt chyba wydajna.

— Nie masz jakiegos proszka na ból głowy — szepnął mi mój widok — głowa mi pęka, a tu tyle roboty... Kilku kolegów nie mogło dziś w ogóle podnieść się z łóżka.

— Co się z wami stało?... Grupa? — zapytałem.

— Nie...

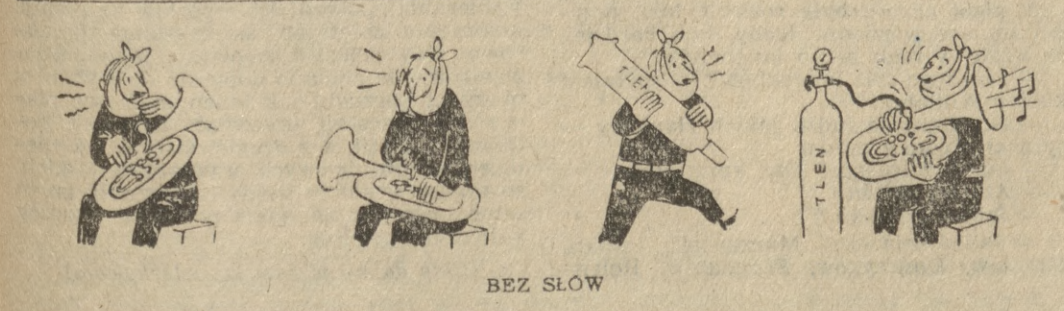
— Widzisz, wczoraj urządziliśmy „zabawę bezalkoholową”, a jak się dolewa spirytusu do wina, to na drugi dzień piekielnie głowa boli.



Opodal było miasto i sto knajp w tym mieście, w których imię pan karnawał w sto zabaw uderzył. W każdej knajpie par ludzkich bawiło się z dwudziestu pod hasłem: kto nie wypił, ten tak, jakby nie żył!

Potem były atrakcje: bikińiarz z kociakiem odtańczył „Maniane” bez niczyich przygarn... Piękny Teos — Zbiniowi w twarz chlusnął koniakiem, a kuflem piwa lampę roztrzaskał chuligan.

Ryk się podniósł pod chmury. Umilkł chór słowicy. Zwierzęta się rozprzeczły po zimowej grudzie... Lew powstrzymał panikę. „To się — rzekł — nie liczy. To jest przecież karnawał. Tak się bawią ludzie...”



swym męskim głosem: „Mała Dorrit” ma rację, my dorośli też się boimy, że to wszystko źle się skończy, że nasze życie jest poważnie zagrożone.”

„Racja, racja — powtórzył „Robinson Kruzo” — dużo w moim życiu przeżyłem, ale powiem Wam, że w takiej opresji jeszcze nie byłem.”

W trakcie tej rozmowy, rozbudził się „Cichy Don” i, usłyszawszy ostatnie zdanie „Robinsona Kruzo”, wyszeptał gwałtownie: „To jest doprawdy skandal narażać nas na takie niebezpieczeństwo, powinniśmy się zbuntować podobnemu traktowaniu naszej społeczności!”

„Tak też zrobimy — odezwała się dziewczynny głosem „Śliczna Fleur” — nasz „ród Forsytów” mimo waśni i nieporozumień rodzinnych, tym razem zgodnie wyśtąpi przeciwko temu skandalowi.”

Na półkach stawało się coraz gwałtniej. Ryby z dalekiej „Ukajali” zaczęły śpiewać smutną pieśń o grozie, uniósł się „Faraon” i z „Lalką”, przytuloną do serca smutno, boleśnie spojrzeli na całe otoczenie. „Pan Wołodyjowski”, zahartowany w bojach, z przerażeniem patrzył na górę, ruszając małymi wąsikami.

Podniósł się „Krzyk dzikich gęsi”, osłupiały „Kobiety u studni”, zadrżała „Złemia błogosławiona”, a ogniki „Nafty do lamp chłuskiech” poczęły niespokojnie drgać.

„Pan Tadeusz” osłonił sobą Ze się „Dziady” zaczęły bełkotać pacierze, a „Kordian” i „Cham” przywarli zupełnie do ścian.

Tylko „General Jęgo Królewskiej Mości” słuchał spokojnie, a gdy się nieco uciszyło, powiedział głośno, by go wszyscy słyszeli:

ROZRYWKI umysłowe

1. Rebusowy arytmograf

1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25	26	27
28	29	30	31	32	33	34	35	36

17, 10, 11, 6, 8

25, 2, 24, 14, 8, 21

23, 19, 7

8, 24, 16

1, 10, 9

5, 12, 22

22, 6, 3

13, 20, 11

2, 19

By rozwiązać zadanie należy przede wszystkim odgadnąć 7 zilustrowanych wyrazów. Ilość liter w szukanych wyrazie odpowiada ilości figurującym pod każdym rysunkiem liczb. Każda litera ma więc swój odpowiednik liczbowy. Odszukawszy wyrazy, należy zastąpić wszystkie liczby w podanej figurze odpowiedziami im literami i rzędami poziomymi odczytać aktualne rozwiązanie. Pamiętajcie przy tym należy, że jednakowym liczbom odpowiadają jednakowe litery.

Wśród osób, które nadesłały prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy 5 wartościowych nagród książkowych. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie tygodniowym pod adresem: Redakcja „Głos Wielkopolski”, ul. Grunwaldzka 19, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”.

2. Zgadywanka literacka

Próbuje — bez zaglądania do encyklopedii — odpowiedzieć na poniższe trzy pytania:

1. Kto to taki był Thibault?
2. Kto napisał „Bibliograficznych ksiąg dwoje”?
3. Jakie było prawdziwe nazwisko Voltaire'a?

Odpowiedź znajdziesz na tej samej stronie.

Rozwiązanie zadań z dnia 17. I. 1954 r.

1. Logograf — obracanka: „Co głowa to rozum” (1. cacko, 2. obora, 3. pegaz, 4. bułka, 5. słoma, 6. rewia, 7. graca, 8. motyw, 9. słota, 10. obrót, 11. grosz, 12. dozór, 13. gruda, 14. komar).

2. Bilet wizytowy: Skwierzyna.

„...Wobec tego, Arnak, nazwijmy ją jak tę wyspę! Ale jak?... Już wiem: Wyspą Robinsona. Obojętnie, czy Robinson Kruzoe istniał czy nie istniał, obojętnie, że nigdy na tej wyspie tutaj nie był, ale ja przecież na niej żyłem jak Robinson na swym odludziu. Często przychodziło mi tu wspominać książkę o tym rozbitku...”

Jednym z najstarszych miast w Ameryce jest Cumana, położona u wybrzeży Wenezueli, mniej więcej trzysta kilometrów na zachód od ujścia wielkiej rzeki Orinoko. Miasto, założone przez Hiszpanów w 1520 roku u wyłotu głębokiej zatoki, chronionej od północno-wschodnich pasatów długim półwyspem, było od samego zarania ożywionym centrum handlowym i kulturalnym oraz ośrodkiem ekspansji konkwistadorskiej. Słły ślad wypraw groźnych konkwistadorów w głąb kraju, aż hen po rzekę Orinoko, by ujarzmić plemiona indiańskie i odbierać im ziemię, i również szli stąd liczni misjonarze, by ujarzmić lub, jak kto woli, ratować dusze Indian i zakładać bogate misje.

W Cumanie istnieje oczywiście wiele kościołów i klasztorów, które w owych surowych czasach były siedliskiem życia umysłowego i w swych murach gromadziły zbiory kronik, dokumentów, traktatów. Do dnia dzisiejszego zachował się niejedon cenny rękopis, rzucający światło na dzieje ludzi i kraju i na wypadki minionych dni.

Niedaleko Cumany, o kilkadziesiąt kilometrów na północ od miasta, wylania się z Morza Karaibskiego rozległa wyspa Margarita, odkryta przez Kolumba, słynna z połowów pereł i buntu ostatniego szaleńczego konkwistadora, okrutnego Aquirre. Między Margaritą a stałym lądem leży inna wyspa, znacznie mniejsza, Isla Cocha, bezludna przez długie wieki, na której pierwsi stali mieszkańcy osiedlili się dopiero w połowie XVIII wieku.

Z owego okresu znajduje się w jednej z bibliotek cumañskich sprawozdanie franciszkanina, który, przebywając na wyspie Cocha, opisuje, jak mieszkańcy jej odkryli w jaskini wielką łódź, schowaną tam niezawodnie przed kilkudziesięciu laty. Na tej łodzi widniał zagadkowy napis, wyrity w drzewie: JOHN BOBER POLONUS, a pod nim rok: 1726. — Franciszkanin starał się odsłonić tajemnicę ukrytej łodzi i dziwnego napisu, ale daremnie, pomimo że sprawę łodzi kojarzył — słusznie zresztą — z głośną swego czasu wyprawą kilkunastu Hiszpanów z Margarity, którzy w pogoni za zbłągłymi niewolnikami w tymże roku 1726 wyruszyli na morze i przepadli bez wieści razem ze statkiem.

Tyle raport franciszkanina.

Inne ówczesne dokumenty, znajdujące się w księgozbiorach cumañskich, podają o jakimś niezwykle białym człowieku, który krótko po roku 1726 pojawił się wśród niezależnych Indian Arawaków, żyjących na półwyspie Paria na północ od ujścia rzeki Orinoko i uzyskał u nich przemożne wpływy. Jako słynny wódz Juan — imię, odpowiadające angielskiemu John — umiał skupić wiele okolicznych szepców pod swym przewodnictwem. Posiadając pewną ilość broni palnej skutecznie bronił przez wiele lat ich niezawisłości przed zakusami hiszpańskich najęźdźców. Dopiero po jego śmierci zdolano złamać opór Indian i ujarzmić ich.

Na podstawie ócalłych zapisków, dokonanych przez owego niezwykłego w istocie człowieka, Jana Bobra, warto może pokusić się o odtworzenie jego ciekawych przysgód, jakich doznał na bezludnej wyspie Morza Karaibskiego. Posłuchajmy jego własnej relacji:

A. F.

1. U ujścia James River

— Wiosłować potrafisz, prawda? — zapytał mnie ścisłym głosem marynarz William, mój przyjaciel.

— Potrafię — odszepnąłem.

— No, to jazda!

Namacawszy krawędź szalupy, skoczyłem na jej pokład i tłumok z całym moim dobytkiem postawiłem przy nogach. Chwyciłem za wiosła. William tegim rozmachem odepchnął łódź od brzegu i zajął miejsce



Był to nasz okręt. Okrzykiem daliśmy znać o przybyciu.

przy sterze. Czując pod sobą wodę, westchnałem z ulgą: byłem jak ścigany zwierzę, wmykający się pogoni.

Zaledwieśmy wypłynęli kilka sążni na rzekę, porwał nas bystry nurt, był bowiem odpływ morza i prąd ze spotęgowaną wartością toczył się w dół, ku ujściu James River.

Minęła właśnie północ. Drobnym deszczem nasiąknięta pomroka pokrywała rzekę i przybrzeżne spichrze Jamestown. Nie było żadnego odgłosu krom stłumionego plusku wiosel i bulgotania wody o burte łodzi. Złab styczniowej nocy wirginijskiej przenikał do kości.

ARKADY FIEDLER

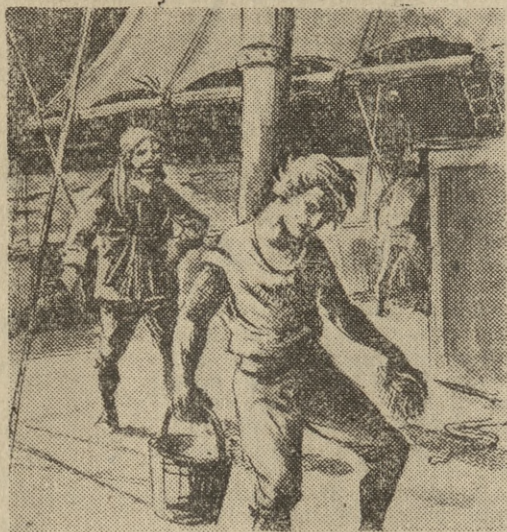
WYSPA

Robinsona

ilustruje: H. Derwich

Nagle Williama zaczął dusić kaszel. Marynarz daremnie go tłumił. Był rozgrzany kilkoma szklanicami grogu, jakimi go uraczyłem w portowym szynku, więc teraz na zimnym powietrzu dławilo go okrutnie. Miedzy jednym wybuchem a drugim przeklinał swe gardło na czym świat stoi i zatykał usta poła kubraka, ale to niewiele pomagało. Obawialiśmy się, że hałas ściagnie na nasze karki strażników rzecznych i udaremni ucieczkę. Na szczęście towarzyszył przestał kaszelec w sam czas.

Przed nami na brzegu pojawiło się światło. Wartownia celna. Przestałem wiosłować. Prąd i bez tego unosił nas we właściwym kierunku, ku ujściu rzeki, gdzie na



Jako świeżo upieczonego marynarza wszyscy zapędzali mnie do najgorszej roboty.

kotwicy stał okręt, cel naszej nocnej wycieczki.

Kędyś od brzegu rozległy się nawoływania, ale nie dotyczyły nas. Nie zauważyłem przypłynęliśmy mimo wartowni, a gdy za zakrętem rzeki zniknęły jej światła, można było odetchnąć swobodniej. Za nami pozostało niebezpieczeństwo, przed nami zbawczy okręt.

Później William, mój towarzysz, chrząknął i przerywając milczenie, stwierdził:

— Well, tośmy najgorsze przebyli... Jeszcze dwie godziny wiosłowania...

Przechylił się nade mną i z niezwykłą u wilka morskiego troskliwością, jakiej nie spostrzegłem u niego w ciągu naszej dwudniowej przyjaźni, zapytał:

— Jonny, brachu, a dusza nie wlaża ci w pięty?

— Dlaczegożby miała mi wleźć? — zachnąłem się urażony.

— Do pioruna, idziesz na kaperski statek, John! Mówiłem ci już, tam nie przelewki! Będziemy wojowali i grabili! Jeżeli Hiszpanie nas złapią, powiesz jak amen, a może przedtem porozkręcają nam ładnie cielska...

Przestałem wiosłować...

— Nie boję się wojowania! A ty, Willy, miły tryku, nie napędzaj mi stracha daremnie...

— Głupiś, John! Ja ci daremnie strachu nie napędzam... Nasz stary — co za lotr i szubienicznik! Takiej kanalii kapitana nigdzie indziej nie ma na całym Morzu Karaibskim! Życie na naszym pudle to piekło, trudno wytrzymać!...

— A ty wytrzymasz? Insi wytrzymują?

— Phi, my to co innego! My od dzieciństwa marynarze, przywykli do słonej wody... Ty natomiast ładowy szczur...

Zywo się obruszyłem:

— Ej, Willy, nie uragaj mi od szczura... Dostyc jam natłukł się w lasach Wirginii i niejedon raz zajrzał śmierci w ślepią. Wiesz, przecież, dlaczego uciekam!

— Wiem, wiem...

Uciekam przed zemstą wirginijskich obszarników, angielskich lordów.

Przed blisko trzydziestu laty ojciec mój, pionier, w poszukiwaniu nowej ziemi, wywędrował z rodziną na zachodnie rubieże Wirginii i tam, w pośród głuchej puszczy u stóp Gór Alleghańskich, postawił sobie chatę. Karczując las, stał pod groźbą napadów Indian, zmagając się z dzikim zwierzem i wrogą przyrodą, przeżywał mozolne lata, aż na koniec przezwyciężył trudy i zaczął zbierać zasłużone swej pracy owoce. Z biegiem czasu inisi przybywali jego śladem i zakładali w pobliżu swe sadyby. Szczęśliwa dolina narastała dostatkiem i życiem gromadnym. Wtedy — a było to akurat przed rokiem — grom uderzył z całkiem nieoczekiwanej strony. Zjawili się agenci lorda Dunbury, ażeby odebrać nam ziemię. Opierali się na jakimś królewskim dekreście sprzed kilkudziesięciu lat, rzekomo nadającym te obszary rodzinie Dunbury. Na to jawne bezprawie wnieśliśmy skargę do władz kolonii w Jamestown, ale tam rządy sprawowali wielmoże i panowie, poplecznicy lorda Dunbury i sprawiedliwości nam nie oddano. Kiedy siepacze lorda najeżeli dolinę, by wyrzucić osadników, zebrało się nas kilkudziesięciu kresowców i stawilo zbrojny opór. Byłem jednym z przywódców.

Obszarnicy w obawie, ażeby bunt nie rozszerzył się w kraju jak pół wieku temu za czasów Bacona, natychmiast rzucili

przeciw nam przeważające siły. Szybko nas rozgromili, tępiąc z niebysiałym okrucieństwem. Nie oszczędzali stryczka. Zagiew zduszono w samym początku. Na moją głowę wyznaczono nagrodę. Ścigany zajądłem, miałem drogę otwartą tylko w kierunku stolicy, Jamestown. Tam też zbiegłem i ukryłem się w karczmie nad brzegiem rzeki.

Uczynni ludzie mi pomogli. Sprowadzili marynarza Williama z okrętu kaperskiego, stojącego u ujścia James River. Okręt zawsze potrzebował marynarzy, a William mnie polubił i chętnie zgodził się przemycić na pokład. Tak oto dżdżystej nocy styczniowej znaleźliśmy się na łódce, dążąc cichaczem w dół rzeki.

Upłynęło więcej niż dwie godziny, gdy głos Williama wyrwał mnie z zadumy:

— Coś tam majaczy przed nami!...

Był to nasz okręt. Okrzykiem daliśmy znać o przybyciu. Z góry zrzucono nam linowy trap, po którym wdrapaliśmy się na pokład. William zaprowadził mnie do marynarskiego kubryku i kazał się przespać. O świcie zbudził mnie i przedstawił bosmanowi. Bosman, do kudłatej bestii raczej podobny niż do ludzkiej istoty, obrzucił mnie ponurym spojrzeniem, dokładnie obmacał mi mięśnie na całym ciele, po czym splunął z pogardą do rzeki i mamrocząc kazał mi iść za sobą.

— Jak ci? — zapytał mnie przez ramię.

— Nie rozumiem o co mu chodziło.

— Jak ci na imię, ścierwo? — huknął.

— Jan — odpowiedziałem z polską, gdyż tak mnie nazywano w rodzinie i wśród leśnych sąsiadów.

— Jak? — skrzywił się bosman.

— John — odrzekłem poprawnie angielskim imieniem.

— No, to zaraz mów po ludzku! — warknął.

Zaprowadził mnie do kabiny kapitana i wepchnął do środka. Kapitan, otłusty jegołosem z wypukłych, przenikliwych ślepiach, siedział przy stole, na którym zastawiono śniadanie, lecz nie jadł. Przed nim stało wypreżonych na baczność dwóch młodych Indian, jego niewolników, jak się później dowiedziałem. Starszego z nich, około dwudziestoletniego młodzieńca, kapitan z całą pasją targał za uszy. Gdyśmy weszli, ustał, ale ręki od ucha nie odejmował i tylko spojrzął na nas spość ła.

— Nowy „marynarz“, John! — zawołał bosman z ironią w głosie.

Kapitan gniewnie kiwnął głową i kazał nam wynosić się do wszystkich diabłów. Bosman szarpnąwszy wyciągnął mnie szorstko na pokład i drzwi kabiny zamknął szybko za sobą.

— Miałeś szczęście, draniu! — zgrzytnął.

— Stary był łaskawy...

Cisnęły mi się na usta pytania, na czym polegało moje szczęście i łaskawość kapitana i co znaczyła ta scena zniżania się nad Indianinem w kabinie — ale opryskliwy bosman nie dopuścił mnie do słowa: wetknął mi do rąk wadło i szcztokę ze ścierką i kazał szorować pokład.

Takem to zaczął służbę na kaperskim okręcie — rad nade wszystko, że z sobą pozostawił ziemię amerykańską i uszedł pogoni.

2. Okręt piracki

Okręt nosił miano „Dobrej Nadziei“ i był trzymasztową brygantyną. Stał na kotwicy jeszcze przez kilka dni. Lekałem się, że władze wirginijskie wywieszą moją obecność na pokładzie, ale William, doświadczony wyga, uspokoił mnie.

— Skoroś tu wlaź — mawiał — toś niby umary za życia... Przepadłeś dla nich...

Jakoż nikt mnie tu nie gonił, a wkrótce podnieśliśmy kotwicę i wyruszyli na morze.

Rygor na okręcie panował straszliwy; za najlżejsze przewinienie stosowano kary. Jako świeżo upieczonego marynarza wszyscy zapędzali mnie do najgorszej roboty. Nie miałem wytchnienia od świtu aż do późnej nierz nocy. Gdyby nie przyjaźna dłoń i ludzkie słowo Williama, nie wiem, jak przetrwałbym ten pierwszy ciężki okres mego pływania. William miał szczerę, acz szorstkie serce i, lubo o przeszło dwadzieścia lat starszy, darzył mnie prawdziwą przyjaźnią. Codziennie, na chwilę przed północą na spoczynek, miewaliśmy miłe gawędy.

Gdy rozniósł się na okręcie, że w ciągu ćwierćwiecza mego życia przebywałem w lasach i byłem tam zawołanym myśliwym, marynarze nieco złagodnieli wobec mnie i już tak nie poszturchiwali. Bosman przydzielił mnie do armaty Williama i kazał wyćwiczyć na tegiego działowego. Tych armat było zatrzęsienie na pokładzie.

— To jakaś pływająca forteca czy co? — wyrażałem przyjacielowi swe zdumienie.

— Do diabła, a coś ty myślał? Że płyniemy na bal?

W głębi okrętu były rozległe luki, przypominające więzienne lochy, tym bardziej, że leżało w nich pełno łańcuchów.

— Do czego tyle łańcuchów? — spytałem kiedyś Williama.

— Do wiązania ludzi, jakich złapiemy — odrzekł prosto z mostu.

— Ludzi złapiemy? Czy kpisz sobie.

— Ani mi się śni!

— Jakich to ludzi?

— Jakichkolwiek: Murzynów, Indian, Metysów, Duńczyków, Francuzów, Holen-

drow, Portugalów, Hiszpanów, wszystkich, co nam się nawiną pod łapy, tylko nie Anglików.

— A co z tymi „jeńcami“ zrobimy?

— Co? Murzynów i tych inszych kolorowych sprzedamy jako niewolników do naszych plantacji, a od schwytanych europejczyków pobierzemy tłusty okup za ich zwolnienie...

— Toż to rozbój!

— Co ty powiadasz?

Skorom dokładniej poznał cel naszej wyprawy, łuski zaczęły spadać mi z oczu, dostatem się nie na zwykły okręt kaperski, lecz na statek piracki.

Po wyjściu na pełne morze wzięliśmy kurs południowy, na Małe Antylle i północne wybrzeże Ameryki Południowej. Myszkując między wyspami, zamierzaliśmy napadać na pomniejsze osiedla i rabować ile się dało. Zaczajeni w kryjówkach morskich na przepływające statki, spodziewaliśmy się bogatego łupu korsarskiego, mając szczególnie na oku transporty niewolników z Afryki.

Taki to był zacy okręt, na który mnie los zapędził. Będąc raz na jego pokładzie, nie miałem już możności wycofania się. Furka za mną się zatrzaśla. Wpadłszy między wrony — jak mówi przysłowie — należało krakać jak i one.

Gdym czynił wymówki Williamowi, że za wczasu mnie nie przestrzegł, w jego niebieskich oczach odbijał się cały ogrom zdziwienia.

— Hej, Jonny, do pioruna, czego ty ode mnie chcesz? — mówił z wyrzutem w głosie. — Przecież nie ukrywał przed tobą, że to okręt kaperski, i że będziemy wojowali i grabili. Czy ukrywałem?

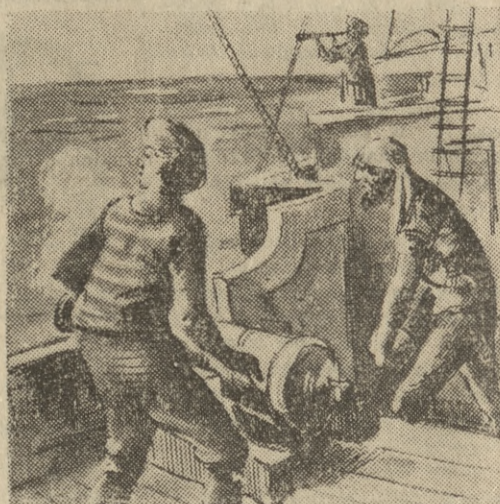
— Nie, ale...

— Ale nie to najważniejsze... Czy nie żyłeś w tych lasach na zachodzie i nie wyprawiłeś tam ciężkich burd, czy nie buntowałeś się przeciw władzom kolonii i nie byłeś zabijaką? Byłeś, byłeś, Jonny! Dlatego chcieli ciebie powiesić i tak za tobą szczi! Byłeś zuchwały i odważny, chłopcze. Czy byłeś?

— Byłem, tylko...

— A jeśliś był zuchwały i odważny tam w twoich lasach, będziesz tak samo odważny tu na morzu. Serce ci tu nie zwiednie...

Chciałem z całą dobitnością wyłożyć mu różnicę między podniesieniem broni w służnej sprawie w lasach Wirginii a użyciem tej broni dla celów rabunkowych i pirackich na morzu, ale powstrzymał się widząc jego mętne, prawie doorduszone spojrzenie: nie przekonałbym go tak łatwo o różnicy moralnych pobudek. Przyjacieli sam nie miał czystego sumienia, bo starał się skierować rozmowę na inszy przedmiot. Począstował mnie kubkiem rumu i zapytał, dlaczego mnie w lasach nazywali Jan, a nie John, co brzmiałoby naturalniej.



Bosman przydzielił mnie do armaty Williama i kazał wyćwiczyć na tegiego działowego.

— Bom matkę miał Polkę, a ojciec, lubo Anglik, był pochodzenia polskiego — odpartem.

— Polacy — to tam niedaleko Turków i Wiednia! — pochwalili się William swą znajomością geografii i historii.

— Daleko i niedaleko — machnąłem ręką śmiejąc się.

Prosił, żebym mu opowiedział nieco o swej rodzinie. Powiedziałem, com wiedział.

Trzy angielskie statki, które w roku 1607 pierwsze zawinęły do wirginijskiej zatoki Chesapeake, przywoziły na ziemię amerykańską nie tylko samych darmozjadów, awanturników i pieczeniary, jak o tym wiadomo z kronik historycznych. Było między nimi kilku rzemieślników smolarzy, Polaków, wziętych w służbę przez kompanię wirginijską, ażeby stworzyli w kolonii przemysł pochodnych drzewnych. Między nimi znajdował się mój pradziadek, Jan Bober.

Rzemieślnicy ci skrzętnie zabrali się do pracy i wnet wytwarzali dla kolonii smole, dziegieć, potaż i węgiel drzewny. Sprawowali się tak dzielnie, że w następnych latach kompania sprowadzała jeszcze więcej smolarzy z Polski, przodującą owymi czasami w tej dziedzinie na całym świecie. Z tego okresu zachowało się w naszej rodzinie wspomnienie niezwykłego wypadku. Mianowicie, w jakiejś dziesiątce czy ileś tam lat po utworzeniu angielscy osadnicy wywalczyli sobie pewne, nikłe co prawda, swobody polityczne, polegające na tym, że mieli prawo wybierania spośród siebie posłów na sejmik kolonialny, zbierający się w stolicy, Jamestown. Gdy polskich smolarzy, jako cudzoziemców, nie chcieli dopuścić do wyborów, oburzeni porzucili jak jeden mąż swe placówki i przestali pracować. Byli tak potrzebni kolonii, a z drugiej strony tak nieugięci w obronie swych praw obywatelskich, że władze w końcu uległy i przyznały im te same uprawnienia, jakie posiadali wszyscy koloniści angielscy.

(Ciąg dalszy w numerze wtorkowym)